

MIŁOWIT KUNIŃSKI

Andrzej Michał Kobos [AMK] – *Panie Profesorze, czy w latach siedemdziesiątych. utrzymywał Pan jakieś kontakty ze środowiskami opozycyjnymi na Uniwersytecie Jagiellońskim?*

Miłowit Kuniński [MK] – W latach 1970–1979 byłem członkiem PZPR. Z PZPR-u wypisałem się latem 1979. Złożyłem oficjalne pismo, wzywano mnie do komitetu uczelnianego i usiłowano wytłumaczyć mi niestosowność mojego postępku, która miała polegać na dawaniu złego przykładu młodzieży (!?). A rozmawiał ze mną, jak się okazało w latach dziewięćdziesiątych, tajny współpracownik. Oczywiście, obawiałem się, że mogę dostać wypowiedzenie z pracy, ale więcej w tym było słabo uzasadnionego strachu niż rzeczywistego zagrożenia. Moje kontakty ze środowiskami opozycyjnymi były bardzo skromne, przywoziłem z Warszawy trochę publikacji KOR-owskich i rozprawdzałem je pomiędzy znajomymi, ale nie robiłem tego na większą skalę.

AMK – *W lecie 1980 zaczęły się w Polsce strajki...*

MK – Byliśmy wtedy z żoną pod Krakowem z naszym maleńkim synem, słuchaliśmy, co się dzieje. Od początku września w Krakowie nastał czas, kiedy wszyscy byli zaangażowani w tworzenie nowych związków, ale nie było jeszcze jasności co do tego, jak te związki mają być zakładane. Spotykaliśmy się w środowisku PAN-u, Uniwersytetu Jagiellońskiego, AGH i WSP. Pamiętam, że bardzo aktywny był wtedy profesor Jan Środoń z Instytutu Geologicznego PAN.

We wrześniu 1980 rozważano dwie koncepcje. Jedna mówiła o branżowych związkach, związanych ze szkolnictwem wyższym, gdyż pożegnaliśmy się ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, do którego większość pracowników Uniwersytetu Jagiellońskiego wcześniej należała. Druga koncepcja wskazywała na terytorialną organizację związku jako na lepsze rozwiązanie. Padały rozmaite argumenty. Za strukturą terytorialną przemawiała możliwość wzajemnego wsparcia, ponieważ środowisko akademickie

nie było ani zbyt liczne, ani specjalnie bojowe. Nawiasem mówiąc, byłem – jak wielu zaangażowanych w tworzenie nowej organizacji – zwolennikiem koncepcji terytorialnej, która wydawała mi się bardziej funkcjonalna, o czym niebawem mieliśmy się przekonać przy kolejnych konfliktach wzniecanych przez władze partyjne. Ta koncepcja ostatecznie przeważyła.

Pamiętam, że na Uniwersytecie zbieraliśmy się z panią dr Teresą Dobrowolską z Katedry Etnografii (dziś Instytut Etnologii), nieżyjącym już profesorem Ryszardem Łużnym z rusycystyki, Magdaleną Smoczyńską z psychologii (potem znalazła się na Wydziale Filologicznym), z Krzysztofem Zamorskim i z Tomaszem Gąsowskim – historykami. Bardzo istotną rolę w tworzeniu NSZZ „Solidarność” w UJ odgrywał nieżyjący już profesor Jerzy Perzanowski, który był zwolennikiem tradycyjnego pojmowania Uniwersytetu i myślał wówczas o zmianach prawa dotyczącego szkół wyższych. Wiele wysiłku włożył w przygotowanie statutu związku „Solidarność” na Wydziale Filozoficzno-Historycznym. Potem powstały wydziałowe władze „Solidarności”. Przez jakiś czas profesor Perzanowski był przewodniczącym na Wydziale, a ja jego zastępcą, albo na odwrót – pamięć niestety już mnie zawodzi. W styczniu 1981 powstała Komisja Zakładowa „Solidarności” Uniwersytetu Jagiellońskiego, której byłem członkiem. Jerzy Perzanowski także.

AMK – *Atmosfera tych pierwszych zebrań niezależnych związków zawodowych na Wydziale Filozoficzno-Historycznym była podobno wspaniała.*

MK – Atmosfera z całą pewnością była wspaniała. Na Wydziale Filozoficzno-Historycznym członków „Solidarności” było – jeżeli dobrze pamiętam – kilkuset. Działanie związku na poziomie wydziałów oparte było na zasadach demokracji bezpośredniej, lecz warunkiem podejmowania rozmaitych decyzji i uchwał było kworum. We wczesnym okresie działalności demokracja bezpośrednia sprawdzała się, bo wszystko działało się szybko, ludzie byli zmobilizowani, zwłaszcza że był to okres pełen trudności z zarejestrowaniem „Solidarności” w sądzie w Warszawie i przepychanek z komunistami. Ta mobilizacja była odpowiedzią na sytuację ogólną, która miała swoje konsekwencje także w odniesieniu do spraw uniwersyteckich bądź ogólnoakademickich w Krakowie. Później, gdy sytuacja trochę się już uspokoiła, jednakże nie na długo, zebranie kworum nie było wcale łatwe; trzeba było apelować do członków, aby pojawiali się na zebraniach – ludzie mieli przecież rozmaite obowiązki, a i ciągła mobilizacja nie była możliwa.

To, co było ciekawe i co zapamiętałem – to fakt, że w początkowej fazie, kiedy już zdecydowaliśmy się, że będziemy działać w ramach struktur terytorialnych „Solidarności”, przyjeżdżały do nas osoby z Uniwersytetu Śląskiego – np. pani dr Ewa Sowa, filozof, osoba wcześniej mocno zaangażowana w PZPR – dowiadywać się, co mają robić, aby „Solidarność” zaczęła

działać na Uniwersytecie Śląskim, który był dość specyficzną uczelnią, mającą silne poparcie wojewódzkich władz partyjnych, ale też wymagającą lojalności ideologicznej od swych pracowników. Jak się okazało, w latach 1980–1981 nie wszyscy byli posłuszni nakazom partii.

Także na Uniwersytecie Jagiellońskim, w ówczesnych uwarunkowaniach politycznych i przy obecności pewnych ludzi, którzy pełnili wysokie funkcje partyjne i mieli wpływ na decyzje dotyczące kariery naukowej, awanse profesorskie przewlekane były latami. Ludzie ci blokowali je w imieniu partii, co czarno na białym można było potem stwierdzić w opublikowanej w „Dzienniku Polskim” dokumentacji. Wynikało z niej, że odpowiedzialny był za to m.in. Jerzy Hausner, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie, który później stał się jednym z liderów Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

Ale wtedy – jesienią 1980 – mieliśmy poczucie, że Uniwersytet Jagielloński, we współpracy z innymi krakowskimi uczelniami, przoduje w organizowaniu niezależnego ruchu społecznego i związkowego i stąd brały się wizyty osób z innych ośrodków akademickich.

AMK – *W okresie formowania się i działalności pierwszej „Solidarności” ścierały się różne tendencje – radykalne i umiarkowane.*

MK – To było dosyć naturalne, ludzie mają jednak różne postawy i różne temperamenty. Pewne sytuacje polityczne skłaniały niektórych do reakcji mocniejszych, inni mówili o praktycznych możliwościach Uniwersytetu. Ruch ten był bardzo zróżnicowany, można było w nim znaleźć najróżniejsze ideologie, postawy polityczne i koncepcje. W „Solidarności” można było swobodnie głosić swoje poglądy, a jednocześnie być chronionym przed represjami przez parasol „Solidarności”. Te różnice dochodziły do głosu i bardzo dobrze, że tak było. Największy problem powstawał wówczas, kiedy trzeba było podejmować decyzje o charakterze strategicznym lub nawet tylko taktycznym. Tutaj zasada demokracji wymagała, aby takie plany i określenie celu działania znajdowały akceptację większości. To rodziło trudności, gdyż ujawniały się różnice, które wymagały dyskusji i odpowiedniego czasu, jakiego często brakowało. Występował dosyć oczywisty dylemat: z jednej strony chodziło o to, aby działać skutecznie, co czasem wymagało podejmowania decyzji na bieżąco, a z drugiej strony istniał wymóg demokratycznego poparcia: ludzie pytali, argumentowali, czy ma się postępować tak, czy może inaczej. Znalezienie złotego środka nie było wcale łatwe. Na szczęście na Uniwersytecie Jagiellońskim władze rektorskie sprzyjały „Solidarności”, więc rozmaite postulaty były traktowane serio, choć nie zawsze spełniane.

Pamiętam natomiast, że na zebraniach „Solidarności” profesor Józef Gierowski, występując w podwójnej roli – jako rektor Uniwersytetu i jako

członek Solidarności” – wielokrotnie przestrzegał nas przed tendencją do „bolszewizacji”, tzn. myślenia partyjnego: mamy jasną ideologię, której powinniśmy się trzymać. Bał się, aby „Solidarność”, pod wpływem okoliczności, nie stała się formacją czysto polityczną. Wtedy brzmiało to trochę kunktatorsko, ludzie narzekali po kątach, że rektor przesadza, ale coś było na rzeczy. Myślę jednak, że to było mądre ze strony profesora Gierowskiego, bo miał świadomość tego, że z jednej strony istniał nacisk władz komunistycznych, dążących do zneutralizowania naszego ruchu, a z drugiej łatwo było w okolicznościach, gdy miało się wspólnego wroga, dążyć do jedności ideowej, gdyż w sytuacji konfrontacyjnej różnice – jak wielu sądziło – powinny zejść na dalszy plan.

AMK – *Każdy wtedy miał głos, stąd może był entuzjazm, nadzieja, energia wśród ludzi...*

MK – Nadzieja była cały czas. Odbywały się różnego rodzaju spotkania, dyskusje, ukazywały się wydawnictwa poza cenzurą, w „drugim obiegu”, jak się wtedy mówiło. Na Uniwersytecie wydawane było solidarnościowe pismo „Universitas”, półlegalne, jak w tamtym okresie wszystkie tego rodzaju pisma. Różni ludzie publikowali w nim artykuły i felietony. Pamiętam, że sławista prof. Jacek Baluch napisał kiedyś felieton o tym, aby nie używać przymiotnika „sowiecki” tylko „radziecki”, bo „sowiecki” ma po polsku sens pejoratywny. Ale tak mówiło się przed wojną, ludzie zaś chcieli wrócić do tej terminologii, która nazywała rzeczy po imieniu.

AMK – *W tym czasie bardzo mocno była zaakcentowana, przede wszystkim przez rektora Józefa Andrzeja Gierowskiego, sprawa samorządności Uniwersytetu.*

MK – Tak, oczywiście. Profesor Gierowski to jest postać, o której można powiedzieć, że przeszła do historii. Był rektorem w okresie „Solidarności”, czasach dość nerwowych i wymagających z jednej strony podejmowania mądrych decyzji, a z drugiej uwzględniania czynnika samorządowego. Profesor Gierowski starał się, aby w ciałach uniwersyteckich była odpowiednia reprezentacja pracowników. Rozumiał, że społeczność akademicka jest hierarchiczna wewnętrznie, ale jednak są różne grupy, które powinny być reprezentowane, nawet jeżeli nie w tych samych proporcjach. Złośliwi aktywiści PZPR mówili, że jeszcze trochę, a w Radzie Wydziału znajdzie się delegacja sprzątaczek.

Przez pewien okres, gdy rektorem był profesor Gierowski, zasiadałem w Senacie UJ, również po wprowadzeniu stanu wojennego, jako prezes Towarzystwa Asystentów Uniwersytetu Jagiellońskiego (TA UJ), wybrany po kadencji prof. Zbigniewa Ćwiąkalskiego, podówczas doktora. Jest to szczególna instytucja – założona została w 1909, jeszcze za austriac-

kich czasów. Przetrwiała czasy komunizmu jako organizacja ograniczona do jednej uczelni. Było zaskakujące, że ludzie, mający bardzo różne życiorysy polityczne, mieli do tego Towarzystwa sentyment i starali się je chronić, co się udało z pewnymi trudnościami. Gdy nastał stan wojenny i „Solidarność” została zdelegalizowana, to m.in. przedstawiciele TA UJ starali się poruszać kwestie, które podnosiłaby „Solidarność”, gdyby mogła działać jawnie.

Sytuacja na Uniwersytecie Jagiellońskim była korzystna w tym sensie, że władze uniwersyteckie prowadziły ostrożną politykę. Łatwo było o puste gesty, ale ich skutki mogły być dla uczelni niedobre. Rektor Gierowski unikał radykalnych posunięć. Być może była to bardziej kwestia jego osobowości niż jakichś szczególnych zdolności taktycznych.

Wracając do początkowego okresu „Solidarności” na Uniwersytecie, chcę podkreślić wielką rolę, jaką wówczas odegrał profesor Jerzy Perzanowski, który miał bardzo jasną koncepcję przywrócenia autonomii Uniwersytetu. Zawsze przy tym podkreślał wpływ jego mistrzów na swoje myślenie: profesora Romana Ingardena i profesor Izydory Dąmbskiej.

AMK – *Kiedyś profesor Władysław Stróżewski w rozmowie ze mną nazwał panią profesor Izydorę Dąmbską „wierną Twardowszczanką”.*

MK – Tak. Izydora Dąmbska była niezłomną Twardowszczanką. Jak mi później opowiadano, kiedy leżała już na łożu śmierci w szpitalu, przyszedł do niej ks. Józef Tischner. Rozmawiali o perspektywie, która ją czeka – o śmierci. Tischner mówił jej, że jest nadzieja, bo to tylko przejście na drugą stronę, do wiecznego życia. A ona odpowiedziała mu bardzo charakterystycznie: „Łatwo się księdzu mówi, wy macie dwa tysiące lat tradycji”.

AMK – *Co najbardziej utkwiło Panu w pamięci z okresu „Solidarności” na Uniwersytecie Jagiellońskim?*

MK – Najbardziej utkwił mi w pamięci strajk, który został ogłoszony na Uniwersytecie po wprowadzeniu stanu wojennego.

Zacznę od tego, że 12 grudnia 1981 na Uniwersytecie odbyła się konferencja zatytułowana „Oblicza Rosji”. Miałem na niej referat o Andrieju Amalriku. Nikt nie przypuszczał, że tego dnia o północy zostanie wprowadzony stan wojenny. Andrzeja Drawicza, który był pracownikiem Uniwersytetu Jagiellońskiego i – oczywiście – też miał referat na tej sesji, aresztowano zaraz po jego powrocie do Warszawy.

Natomiast moja żona i ja wróciliśmy do teściów na al. Daszyńskiego, gdzie przebywał nasz syn. Rano przyjechał szwagier, który pracował jako lekarz na kolei, i powiedział nam, że jest stan wojenny. – „Jaki stan wojenny?” – „To podnieście słuchawkę telefonu i włączcie telewizor”. Telefon

głuchy, a w telewizorze co pewien czas pokazuje się Jaruzelski. Zachowując ostrożność, wróciliśmy do naszego mieszkania.

Potem poszedłem do Collegium Novum. Przed budynkiem stała konstrukcja z plakatem ciągle informującym o owej sesji o Rosji. Pamiętam, że w jednej z sal, chyba w sali nr 26, mieściło się coś w rodzaju sztabu i punktu kontaktowego „Solidarności”. Tam widziałem m.in. panią dr Teresę Dobrowolską i profesora Tomasza Studnickiego. Ludzie przychodzili z miasta. Uniwersytet był oazą, łatwo było się tu dostać, znajduje się wszak w samym centrum miasta. Większość z nas była zdezorientowana, ale staraliśmy się jakoś działać; był jeszcze powielacz, na którym powielano informacje i komunikaty. Przynoszono i wnoszono informacje. Na Collegium Novum wisiał transparent z napisem „Strajk okupacyjny”. Później przez długi czas mówiliśmy, że ten strajk nigdy nie został odwołany.

Zastanawialiśmy się, dlaczego milicja nie przychodzi na Uniwersytet. A oni – mówię o komunistach – byli zajęci Nową Hutą, a dokładnie Kombinatem, i przygotowywali się do jego pacyfikacji. Ponadto zapewne przyjęli taką taktykę, aby środowiska uniwersyteckiego specjalnie nie ruszać i nie tworzyć w ten sposób kolejnego źródła konfliktu. Zapewne zdawali sobie sprawę z tego, że wpływ oporu hutników na morale społeczeństwa był znacznie większy i przede wszystkim ten wpływ starano się zminimalizować.

Jak pamiętam, Uniwersytet w okresie stanu wojennego, kiedy rozmaite represje spadały na ludzi i zakłady pracy, wychodził obronną ręką. Z faktu ujawnienia donosicieli na Uniwersytecie wynika jednak, że SB i władze partyjne orientowały się, jaka była sytuacja na Uniwersytecie, chociaż nie zawsze były to dokładne informacje.

AMK – *Jakkolwiek z tym było, na Uniwersytecie nastąpiło gładkie zejście „Solidarności” do podziemia.*

MK – Początkowo miałem być w podziemnej Komisji Zakładowej, ale gdy kolega zapytał moją żonę na Plantach: „To co, Miłek jest już w Tajnej Komisji?”, uznaliśmy, że taka konspiracja jest do niczego, jeżeli ludzie naokoło o niej opowiadają. Wycofałem się z tego, bowiem być spalonym zaraz na początku działalności – wydawało mi się bez sensu.

AMK – *Czy miał Pan potem jakieś kontakty z Tajną Komisją?*

MK – Raz czy dwa miałem kontakt przez Tomasza Studnickiego i profesor Ewę Miodońską-Brookes. Pamiętam, że napisałem pewne sprawozdanie, którego kopię gdzieś schowałem i do dzisiaj nie mogę znaleźć. Opisałem w nim spotkanie w styczniu 1982, gdy przygotowywano się na Uniwersytecie do wznowienia zajęć w stanie wojennym. Wezwano mnie i innych pracowników na rozmowę w obecności dyrektora Instytutu Filozofii, profesora

Zbigniewa Kuderowicza. Przewodził temu spotkaniu przedstawiciel Studium Wojskowego UJ, który – do dziś to pamiętam – był ubrany w mundur lotnika. Wszystko to było dosyć komiczne, gdyż prócz jednego człowieka z socjologii nikt tam nie był specjalnie zainteresowany rozmawianiem na serio. Zapytano mnie, czy będę przekonywał studentów o słuszności wprowadzenia stanu wojennego? Odpowiedziałem, że nie widzę powodu, abym to robił. Nikt na to nie zareagował. Tu muszę podkreślić, że nasz dyrektor postępował tak, by nikomu z nas nie stała się krzywda.

Zajęcia uniwersyteckie przywrócono. Potem były różne wydarzenia: a to kolegę docenta Józefa Miśka gdzieś aresztowano, a to koleżanka z Instytutu, profesor Justyna Miklaszewska, przesiedziała przez parę dni w areszcie. Jeżeli przy kimś z aresztowanych znaleziono kartkę z nazwiskami, to potem po kolei tych ludzi aresztowano i przesłuchiowano. Podobno pospolici przestępcy w więzieniach z szacunkiem odnosili się do politycznych. Zawsze było to jednak przykre przeżycie.

AMK – *Czy był Pan zaangażowany w podziemną działalność wydawniczą?*

MK – Tak, ale nie była ona bardzo rozległa. Moim kontaktem był profesor Jerzy Perzanowski. Pamiętam spotkanie przy ul. Królowej Jadwigi, a więc poza centrum miasta, na które udałem się na polecenie prof. Perzanowskiego, a asekurowała mnie żona. Nie było to bardzo mądre z punktu widzenia zasad konspiracji. Przedstawiono mi tam jakiś konflikt dwóch rywalizujących z sobą ludzi z „Solidarności” podziemnej w Myślenicach. Zwrócili się, żeby w tej sprawie podjąć decyzję. Mieliśmy to jakoś rozsądzić. Konia z rzędem temu, kto połapałby się w tym, o co tam naprawdę chodziło.

Pamiętam również, że wybierałem się do jednego z aresztowanych studentów, którego osadzono gdzieś w Bieszczadach. Dostałem od profesora Władysława Stróżewskiego, który wtedy był dyrektorem Instytutu Filozofii UJ, bumagę, która miała pomóc mi tam wejść, ale zanim tam pojechałem, to studenta już wypuścili. Stawałem też kiedyś przed kolegium ds. wykroczeń, żeby zaświadczyć, że student, którego zgarnęła milicja pod Instytutem Filozofii na Grodzkiej, w czasie demonstracji był gdzie indziej. Wiadomo było, że trzeba ratować tych młodych ludzi.

AMK – *Czy miał Pan jakieś kontakty z robotniczymi organizacjami „Solidarności”?*

MK – Nie miałem takich kontaktów, ale przypuszczam, że mógł je mieć profesor Perzanowski, choć nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy.

AMK – *Czy obawialiście się inwigilacji przez bezpiekę?*

MK – Myślę, że tak, przynajmniej w Instytucie Filozofii. Wyszło to na jaw później, gdy zapoznałem się z teczką z materiałami na mój temat, do któ-

rej uzyskałem dostęp w IPN-ie. Było w niej opracowanie, którego autora nie potrafiłem najpierw określić, choć ze znajomości realiów jasne było, że był to ktoś, kto był pracownikiem Instytutu Filozofii. Później okazało się, że był to nieżyjący już nasz instytutowy kolega, Marek Kozanecki. W stanie wojennym organizował u siebie spotkania: a to z Leszkiem Moczulskim z KPN-u, a to z Adamem Michnikiem. W pewnym momencie rozeszły się pogłoski, że był donosicielem. Potem okazało się, że opracował elaborat dla SB na temat sytuacji w Instytucie Filozofii UJ. Przez krótki czas działał inny jeszcze donosiciel (później przestał pracować w naszym Instytucie), który donosił głównie na profesora Ryszarda Legutkę. To wszystko jednak nie przynosiło specjalnie groźnych efektów, a to z tego powodu, że tak naprawdę obiektem zainteresowania SB był Mirosław Dzielski.

AMK – *Mirek Dzielski był moim kolegą na studiach fizyki, od czwartego roku, tj. od 1964.*

MK – Znałem Mirka bliżej. Interesowaliśmy się podobnymi zagadnieniami, tzn. problemem wolności gospodarczej, ustrojem liberalno-demokratycznym, czytaliśmy podobne lektury, spotykaliśmy się i dyskutowaliśmy. Pod koniec lat siedemdziesiątych Mirek zaczął dosyć intensywnie uprawiać publicystykę, poczynając od zagadnień filozoficznych, a później z pogranicza filozofii i polityki. W latach 1980–1981 zaangażowany był w działania „Solidarności”: został rzecznikiem prasowym „Solidarności” Regionu Małopolska. W tym okresie pojawiły się jego koncepcje, opracowane wspólnie z Tadeuszem Syryjczykiem, aby przy kombinacie metalurgicznym Huty im. Lenina (od 1990 nazywanego Hutą im. T. Sendzimira) stworzyć system spółdzielni dla pracowników, które coś tam produkowałyby i wchodziłyby w związki gospodarcze z macierzystym zakładem, i w ten sposób pracownicy nie byłiby całkowicie od niego uzależnieni. Te pomysły były całkiem interesujące i sensowne. Niewiele z tego udało się zrealizować, bo czas był zbyt krótki. Po wprowadzeniu stanu wojennego Mirek sporo pisał. Przez pewien czas ukrywał się, a potem wyszedł na „powierzchnię”. Nie dokuczano mu za bardzo, ale „miał” swojego esbeka, kpt. Stanisława Knapika, przydzielonego do Uniwersytetu, który go regularnie „przepytывał” podczas dosyć częstych wezwań na przesłuchania. Mirek miał na esbeków metodę: każdą taką wizytę wykorzystywał do agitowania na rzecz wolności gospodarczej i kompromisu: niech komuniści oddadzą władzę, a my zajmiemy się gospodarką.

W tych latach napisał swoją najważniejszą rzecz: *Odrodzenie ducha – budowa wolności*. Wzbudziła ona znaczne zainteresowanie, także za granicą (została przetłumaczona na włoski), okazało się bowiem, że „Solidarność” jest ruchem, w którym kwitną rozmaite idee, w tym idea wolności gospodarczej. U Mirka ciekawe było połączenie koncepcji odpowiedzialności,

samodzielności i zaradności z katolicyzmem. Był człowiekiem bardzo głęboko wierzącym.

Wraz z młodszymi kolegami był współtwórcą czasopisma „13 grudnia. Pismo chrześcijańsko-liberalne”, które ruszyło dosyć szybko po 13 grudnia 1981. Potem tytuł ten zmieniono po prostu na „13. Pismo chrześcijańsko-liberalne”, aby nie było bezpośrednich nawiązań do daty, która rodziła ponure skojarzenia. Pojawił się tam m.in. komentarz Mirka do encykliki papieskiej na temat pracy i kapitału *Laborem exercens*.

To wszystko – można powiedzieć – to był ferment intelektualny, który miał nas przygotować do nowej sytuacji, co do której mieliśmy nadzieję, że nadejdzie, aczkolwiek nikt z nas nie przewidywał, że system upadnie całkowicie i tak szybko.

Mirek wyjechał do Stanów Zjednoczonych na stypendium i tam okazało się, że jest ciężko chory. W kilka miesięcy później, w październiku 1989, zmarł.

AMK – *W drugiej połowie lat osiemdziesiątych nastąpił spadek entuzjazmu i zaangażowania ludzi.*

MK – To jest trafna opinia. Niewątpliwie nastroje nie były dobre; domino wało poczucie rezygnacji i przygnębienia, wywołane przez ogromne trudności codziennego życia większości ludzi.

W latach 1986 i 1987 dwukrotnie wyjeżdżałem do Londynu na stypendium Fundacji Lanckorońskich z Brzezia, którym zarządzała pani profesor Karolina Lanckorońska. Ówczesny dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego, profesor Jerzy Wyrozumski, kontaktował się z potencjalnymi stypendystami. Na podstawie zaproszenia z Fundacji otrzymywało się paszport służbowy. Przy czym – o ile mi wiadomo na podstawie własnego doświadczenia i informacji od kolegów – nie wiązało się to z wywieraniem nacisku przez tajne służby do zobowiązania się do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa.

To był dla mnie ważny okres: wtedy podtrzymałem i nawiązałem jeszcze więcej kontaktów z ludźmi, którzy przyjeżdżali z Anglii, by prowadzić działalność w krajach komunistycznych. Byli pośród nich: znany filozof konserwatywny Roger Scruton i jego przyjaciel profesor Dennis O’Keeffe, Jessica Douglas-Home, baronowa Caroline Cox, Timothy Garton Ash i Marek Matraszek (Polak z pochodzenia). Odegrali oni istotną rolę: jeździli do Polski, do Czech, do Rumunii i tam wspomagali środowiska antyreżimowe, dysydenckie – jak je nazywano na Zachodzie. Wygłaszali wykłady, zawozili literaturę, czasem jakiś sprzęt. Na przykład naszemu Instytutowi Filozofii zafundowali nowoczesny kserograf, a były to czasy, kiedy każde użycie kserokopiarki trzeba było zapisywać w zeszyciku. Gdy patrzy się na to z dzisiejszej perspektywy, ogarnia człowieka zdumienie, że tak mogło być.

W tym okresie doświadczyliśmy – prócz pomocy charytatywnej – także wielu świadectw zrozumienia i solidarności z Polską i z Europą Wschodnią ze strony osób mieszkających w krajach, gdzie można było spodziewać się, że wygoda i pełne żołądki mogą skłaniać do tego, by w ogóle nie interesować się tym, co dzieje się na rubieżach Europy. A jednak wielu ludzi uważało, że są to sprawy ważne i być może wielu patrzyło perspektywicznie, w przekonaniu, że należy przyczyniać się do tego, aby w końcu system komunistyczny upadł – chociaż, podobnie jak my, nie byli oni w stanie przewidzieć, kiedy to nastąpi i jaki będzie scenariusz wydarzeń. Ich działalność podtrzymywała nadzieję i przekonanie, że koniec końców zdołamy się wyzwolić.

AMK – *Czy w okresie przełomu w 1989 roku był Pan zaangażowany w działalność powtórnie zalegalizowanej „Solidarności”?*

MK – Byłem zaangażowany w ruch komitetów obywatelskich. Przemawiała do mnie działalność lokalna, bo wydawała mi się ważna. Samorządność w komunizmie została zupełnie zniszczona. Zaczęło się od tego, że byliśmy z żoną przy wyborach 4 czerwca 1989 roku jako tzw. mężowie zaufania, a potem działaliśmy w komitetach obywatelskich.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że w pewnym momencie wyraźnie widać było, że tendencje do tworzenia partii politycznych sięgają także nawet szczebla lokalnego. To było nieuchronne, ale wskutek tego dosyć łatwo było o zacierzewienie i upartyjnienie kwestii, które wymagały szukania konsensusu.

AMK – *Najpierw była jedność dla osiągnięcia zmiany systemu, a teraz już mieliśmy tę zmianę, wspólny wróg zniknął...*

MK – Mam świadomość tego, że nie dało się utrzymać pierwotnej formy ruchu obywatelskiego. Trudno jednak liczyć na bezustanny entuzjazm. Działanie musiało przybrać formy instytucjonalne. Stało się jednak tak, że poszły za tym zmiany, które pokazały, iż istotną rolę odgrywała umiejętność „sprzedania się”, wizerunek itd. Elementy nieodłączne od demokracji. Dziś ją rozumiemy to lepiej, bo mamy za sobą doświadczenie dwudziestu lat.

AMK – *Jak patrzy Pan z perspektywy lat na tamten okres swojego życia?*

MK – Gdy patrzę na to z obecnej perspektywy, to wspominam te lata jako bardzo ważny okres w moim życiu. Panowało wtedy wzajemne zrozumienie i entuzjazm. Miało się poczucie, że dzieje się coś istotnego zarówno w skali mikro, jak i makro. Dane mi było przeżyć coś, co może jest porównywalne pod względem intensywności – oczywiście nie w pełni – z tym, co przeżywała moja Matka, która jako 17-letnia dziewczyna brała udział w Powstaniu Warszawskim. To u nas szło po kolei: pradziad był w Po-

wstaniu Styczniowym, Ojciec w kampanii wrześniowej. Ja brałem udział w czymś pokojowym, ale równie istotnym dla Polski.

AMK – *Było skuteczniejsze...*

MK – To przede wszystkim – było skuteczniejsze. A przy tym daje to pewną perspektywę. Nie mówię, że każde pokolenie musi przeżyć coś takiego, ale było to bardzo ważne, formacyjne doświadczenie. Myślę, że wielu ludzi ma podobny stosunek do tego okresu.

Tekst autoryzowany 27 lutego 2010